



3 MAJ.

ROZPROMIENIENI radością, szczęśliwi wyjdziemy świętować Wielki Dzień naszego Narodu.

Miasto zalane potokami wiosennego słońca, ubrane flagami, na ulicach widać zbrojne i sprawne szeregi wojska. Zdaleka słychać fanfary...

W dniu tego święta każdy z nas powinien dokładnie zdać sobie sprawę z tego, co wniósł szlachetnego i dobrego do wielkiego organizmu, jakim jest Polska.

Polem działalności narodowej nie jest teraz pole walki, lecz codzienna praca. Pokażmy, że Polacy potrafią nie tylko walczyć i umierać na polach bitew, ale, że zdolni są także, zwyciężywszy wady i słabostki charakteru, codzienną pracą budować potężne i mocarne Państwo.

Czyż szlachetna duma i ambicja, oraz święta pamięć naszych przodków, kiedy Polska stała na czele potęg europejskich, pozwoli nam pozostawać ciągle jeszcze w tyle? Nie!

My młodzi na to nie pozwolimy, musimy wywalczyć Polsce należne jej miejsce i właśnie w dniu 3 maja, jako w rocznicę odbudowania się naszego Narodu, powinniśmy powziąć postanowienie porzucenia tej dziwnej, jakiejś obojętności w stosunku do życia społecznego.

Zrozumienie tych spraw nadchodzi, młodzież coraz bardziej zaczyna skupiać się w organizacjach o charakterze społecznym, choćby wspomnieć „Straż Przednią”. Nam przypadło w udziale, pracą długą, wytrwałą i znojną gruntować potęgę Polski, zdobywać swojej Ojczyźnie wielkość i znaczenie wśród obcych narodów.

To budowanie mocarstwowej Polski nam młodym przypada w udziale. Wielkie to i trudne zadanie, ale tem zaszczytniejsze, że od niego zależy rozwój historii Polskiej. Dziś w dniu święta tego, pomnąc na wylaną krew naszych rycerzy i żołnierzy, pomnąc na tytaniczną pracę Marszałka Józefa Piłsudskiego, złożmy gorące postanowienie, ślubując tak jak Oni — Wierność i Miłość Ukochanej Ojczyźnie, Jej ofiarując wszystkie wysiłki naszego życia, a w razie potrzeby i samo życie.

Red.

W 25-LECIE ŚMIERCI ST. WYSPIAŃSKIEGO.

CAŁA Polska słucha dzwonów bijących, które wzywają wszystkich do oddania hołdu prochom St. Wyspiańskiego.

Tragedja naszego istnienia porozbiorowego chciała, iż najlepsi i najwięksi synowie naszego narodu umierali, nieznając wolnej Polski.

Tak też umarł Wyspiański, jako ostatni z wodzów narodu, którym nie dano było oglądać zwycięstwa.

Rozgłos i sławę swego imienia zużył, na niesienie pomocy ociekającej krwią, bezdomnej we własnym domu, ogłodzonej przy pełnych sąsiadach, Polsce.

Osiągnął wiele. Poruszył serca i dusze swoim słowem. Wzbudził uwielbienie swoim czynem.

A tymczasem wśród huku dział rozbiorców i chrzęstu broni wyrosło w Polsce pokolenie bohaterów — z Jego posiewu.

Coraz częściej zjawiał się szary żołnierz na szarej ziemi i zaczął ją przemierzać swymi krokami, szukając na wschodzie i na zachodzie jej granic, gdzie mógłby wbić słupy na zawsze i powiedzieć: „Tu jest Ojczyzna“! Chwila zmartwychwstania była bliska. Brakowało jej jeszcze kształtu realnego, ale wielki moment dziejowy już się przygotowywał, już pozwalał się wyczuć w rosnącym wśród ludów Europy głodzie prawa i sprawiedliwości. Trony Prus, Austrii i Rosji już się chwiały. Wszystkie trzy mocarstwa zaborcze miały już rysy na swoich podwalinach gwałtu i przemocy.

Wyspiański zrywał się wyobraźnią ku tej godzinie oczekiwanej, w rozmowie z przyjaciółmi wychodził jej naprzeciw. Cekał na nią, błogosławił jej przyjsciu zawczasu. Nie doczekał się jednak.

I w tem tkwi jego ostatnia, wielka tragedia. Stał już niemal na progu wolności, oglądał jej wizję i odszedł przed wejściem do ziemi obiecanej.

Tragedja to jednak nietylko jego. Tragedja to także całego narodu, który w chwili wielkiej miał odczuć swoje sieroctwo, brak pierwszego swojego obywatela, swojego prawowitego wodza, który otrzymał i niósł buławę hetmańską: „Ani z soli, ani z roli, ale z tego co go boli“.

Polska stradowana wówczas, butami żołdaków pruskich, austriackich i moskiewskich, rozdarta na okupacje, odrętwiała w bólu, który z zaciśniętymi zębami, nie mogła stanąć nawet u tej Hetmańskiej trumny, otoczyć ją kołem, oddać jej cześć i hołd należny.

Dziś ziemia polska wspomina. Lasy się zadumały i stoją w oczekiwaniu, szemrząc swoje pacierze, niebo się wypogodziło złotą pogodą jesieni. Przycichły wiatry. Oto idą tłumnie ludzie do katakumb, oto zbliżają się ku wielkiej trumnie. Cały Naród bierze ją w ramiona. Pochyla się nad nią i szepce słowa wdzięcznej miłości dla tego, co śpi w tej trumnie.

Spowinćcie ją corychlej w biało-czerwoną chorągiew Rzeczypospolitej, bo to jej majestat, zaklęty w czasach niewoli w twórcze słowo artysty, na świadectwo, iż słowo czynem się stało!

Wiesław Kłokocki, kł. VIII.

PIERWSZE ZWYCIĘSTWO

(NOWELA).

DWORZEC. Niebywały gwar, hałas, krzyk.

Wśród śmiechu i okrzyków opuszczają kraj nasi najlepsi lekkoatleci, ruszając na podbój nienaruszonej nigdy, upojonej zwycięstwami potęgi sportowej Europy — Niemiec. Ruszają pełni nadziei życia. Tłum macha chustkami, kapeluszami, laskami — odpowiadają im uśmiechnięci sportowcy, wybrańcy losu, z okien ruszającego pociągu. Wśród tego ogólnego podniecenia, rozgorączkowania, wśród ogólnej radości, on jeden jest smutny. Dlaczegoż miałby się też cieszyć? On Józek Sokół, który przebiegł tydzień temu 3 klm. w 8.30 min. pozostał w domu. On, który pracował w pocie czoła, który nic poza sportem nie widział, on musi żegnać. Czyż nie

powinien być zeganym...? Dlaczegoż miałby się też cieszyć...? Tłum tłoczy się, przelewa, przebiega do przodu, porywa nas ze sobą, Józka i mnie.

— — — — —

Mecz międzypaństwowy przewidywał trzydniowe walki.

Na pierwszy ogień idzie setka. Musieliśmy przegrać. Jerzy był trzeci. Zrobił 10 6 — to też na niego dużo. To jego rekord życiowy. Po pierwszym dniu zawodów, w którym poszły nasze słabe konkurencje. Niemcy zeszli z przewagą 13 punktów. W drugim dniu, w którym mimo, że startowały asy reprezentacji, przeciwnicy wywalczyli jeszcze jeden punkt.

Rozentuzjasmowany tłum opuścił tribuny. Powoli fala ludzi przelewa się ku wyjściu. Stadion pustoszeje.

W obozie polskim — przygnębienie. Więc przegramy. Taki stóprocentowy faworyt Stach przegrał 5000 mtr., Julek był czwarty... więc... więc... 3 klm. tę ostatnią konkurencję też przegramy, no i mecz.

Więc sztandar Niemiec znowu wjedzie na maszt, więc to jeszcze jeden liść do wieńca. „Trzeba było wziąć Józka”. Mówiłem jeszcze w Warszawie. „On by nie przegrał, nic to, że młody, ale zacięty”. Rozważali zawodnicy. W hotelu również omawiano przyjazd Józka. „On zdąży przyjechać samolotem”. Postanowił pan prezes Janowski.

— — — — —

Wieczorem czekali go już na lotnisku w Berlinie koledzy. Przyjechał, był trochę blady — pierwszy raz w życiu jechał samolotem... Czy zwycięży...?

— — — — —

Hallo! Tu mikrofony sprawozdawcze pols...

Rozpoczynamy transmisję z międzynarodowego spotkania lekk.

Strzał! Ruszyli!

Z miejsca wychodzi ostrym sprintem na czoło Stach. Chce się zrewanżować za przegrane 5 klm? Idą równo zwartą stawką. Prowadzi Stach. Rwie ku przodowi, pracuje równo jak maszyna. Wydłuża krok! Zwiększa tempo!! Prowadzi różnicą 4 mtr. Tempo piekielne! Pierwsze okrążenie 60 sek. Pozostało jeszcze sześć i pół okrążenia. Druga runda bez zmian. Prowadzi ciągle Stach, zanim Józek prowadzi dwu Niemców. Na trybunach wielkie zdenerwowanie. Od biegu zależy mecz. Megafon podaje czas. 800 mtr. — 2^o.61 sek. Więc padnie rekord? Dreszcz emocji przeszedł tłum. Reszta zawodników polskich wyraźnie zdenerwowana. Siedzą przy bieżni.

1500 mtr. — 4^o.3 sek ogłasza megafon.

Na bieżni wre walka. Niemcy w tyle. Walczą już tylko ze sobą. Prowadzą na zmianę: Stach, Józek... Stach zdaje się być wyżyłowany długim prowadzeniem. Józek zdaje się wyglądać świeżej. Zdaje się... Chciał zejść z bieżni. Przy drugim okrążeniu nogi mu ciążyły, ziemia wirowała, nic nie czuł, widział tylko białą koszulkę lidera. Biegł machinalnie. Na trzecim okrążeniu złapał drugi zbawienny oddech. Spojrzał na sztoper i... zwiększył tempo. Wyszedł przed Stacha. Czy wytrzyma tempo do mety? Czy sam się niem nie zarżnie? Zostały dwie rundy. Sytuacja nie zmienia się. Serca Polaków biją silniej. Obliczają w duchu punkty. Na try-

bunach poruszenie. Jednak piękna walka zjednywa widzów. Zapominają, że ich zawodnicy w tyle. Walka porywa ich.

Dzwonek!!

Rzucili sztopy! Józek jest 8-em przed Stachem. Stach jest skończony. Odległość między nim a Stachem rośnie ciągle. Teraz wynosi 20 mtr. Niemcy rozpoczynają finisch. Chcą dojść. Stach ogląda się. Jego wczorajszy zwycięzca depta mu po piętach, czuje oddech na plecach. Idą pierś w pierś! Głowy odrzucone w tył w heroicznym wysiłku mięśni i woli. Zbliżają się do Józka. Publiczność wstaje z miejsc.

Jó-zek! Jó-zek! Jó-zek! Krzyczą nasi. GAZU! STASIEK!

Wśród niebywałego napięcia nerwów, wśród niemilkących oklasków, pierwszy mija metę Józek. Wpada w ramiona przyjaciół.

Zanim wre walka o centymetry, o punkty, O ZWYCIĘSTWO!

Hura! Zwyciężyliśmy!

Z twarzą wykrzywioną wysiłkiem prze ku mecie Stach.

Skok! O pierś!!!

Ten jeden skok wzrusza nas do łez. Tłum wpada na boisko. Zalewa je wrzask. Krzyk. Szukają zwycięscy. ON płynie na ramionach do mikrofonu. Wypowie kilka słów do Polaków. Już jest przy nim. Chce mówić. Ucieszyło się. Megafon ogłasza zwycięstwo. Padł rekord. CZAS 815.3 sek. Sztandar polski wjeżdża na maszt! Grają Mazurka. Przy radjach słuchają. Czeka na słowa Józka. Zaczyna mówić, brak mu tchu, sił, usuwa się w ramiona przyjaciół. mdleje..

Hallo! Hallo! Polskie Radio Warszawa. Transmitowaliśmy...

Za chwilę wygłoszony zostanie odczyt.

Psiakrrr... Wyłączyli...

Maksymilian Hernhut, kł. VII.

REFLEKSJE W ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI.

WZMOŻONE tempo — gorączkowe życie. Huk aut, gwizd lokomotyw, warkot samolotów, wyczyny i ofiary.

Dziś 14-letnia rocznica odzyskania Niepodległości. Dziś zrobmy rachunek, ilu położyło swe życie za nas lub dla nas. Czy dostatecznie oceniamy poświęcenie się jednostek? Żyjemy, nie zdając sobie sprawy, że koło nas wre jakieś życie, jakaś wieczna i bezustanna czujność i walka. Oto walka prawa z bezprawiem.

Na straży prawa stoi policjant. Noc. Policjant stoi na posterunku. Stoi nieruchomy, czuwa. Śpi miasto... tylko wiatr świszcz, bijąc w twarz czuwającego ostrym szronem, targa jego odzież, on stoi, czuwa. O czym myśli? Czy i on nie pragnąłby spoczynku? Oczy mu się kleją, lecz usta szepczą bezwiednie — obowiązek! Wyprostowuje się, otrząsa, przyciska zimny karabin, czuwa. Myśli o swej rodzinie, dla której pracuje; ona spokojna.

Czuwa. Z za ciemnego muru wylania się bezszelestnie postać, stąpa cicho, widać tylko oczy gorejące jakąś wściekłą nienawiścią zemsty. Doszedł do muru, wychylił się i oczy zabłysły mu jeszcze bardziej złowrogo. Błysnęła stal, człowiek wymierzył dokładnie.

Strzał. Czuwający policjant osunął się na ziemię, trzymając broń w kurczowo zgiętych palcach. Leżał bez ruchu. Zbrodniarz znikł w ciemnej ulicy.

Nazajutrz meldunki, telefon, śledztwo, poszukiwania, a tymczasem na cmentarz pod szumiącą lipą, spoczął jeszcze jeden.

Na polu codziennej pracy w Polsce Odrodzonej padło ich trzystu. Pod Termopylami padło trzystu, lecz razem, spojeni jednym łańcuchem obowiązku wytrwania na posterunku. Ci giną pojedynczo w szarej pracy. Tamci są w historii, a ci?... Po krótkich wzmiankach o tych „wypadkach“, przechodzimy do codziennych zajęć. Huk aut, tramwajów, warkot samolotów.. I tak ciągle — lecz coraz smutniej...

Warkot samolotów, chalange, napięcie i wreszcie zwycięstwo. Zwycięstwo Polski! Gorączkowe oczekiwania całej Polski na bohatera, triumfalny przylot, powitania, łzy wzruszenia, nagrody i szalejący entuzjazmem tłum..

Bohater nie mówi nic — czyn mówi za niego. Cała Polska mówi o jednym, świat mówi o jednym. Gdy wtem.. Wzdryga się myśl, okrzyk oburzenia bezsilnego, niezwyklej trwogi, bluźnierstwa na ustach i odetchnienie całego narodu.

Czemu?! Pocóż było tyle szczęścia, czyż poto, aby był większy ból... Szczęk aut, tramwajów i kolei grzmi dalej, lecz jeszcze smutniej zgrzyt ich ma w sobie coś bezlitosnego, drwiącego.

Minęły dni, pozostał ból i żal. Dziś odsłonięcie pomnika lotników, tak bowiem zginęło czterystu. Czterystu ptaków i czterystu bohaterów.

Dziś wydaje się nam, że ten tragizm nie miał miejsca, lub że to było tak dawno. Triumf — śmierć i wszystko minęło. Czy to była prawda? Bo przecież dalej słyszymy huk aut, kolei, warkot samolotów.

Dziś na zimnym pomniku stosy wieńców i kwiatów. Niemy wzrok pyta dlaczego zginęli? Gdzieindziej płyną gorące, ciche łzy...

To wszystko dla chwały Ojczyzny, więc chwała to musi być coś wielkiego, niedosięgalnego, ważniejszego niż życie tysięcy.

Posmutniał świat, huk aut, tramwajów, warkot samolotów, osłabły zmęczone życiem.

T. Wawryn, kł. VIII.

ECHA UROCZYSTOŚCI GOETHEGO W ZAMOŚCIU.

GOETHE — tytan myśli i słowa!

Goethe — największy poeta niemiecki!

1833 — 22.III — 1933.

Stuletnia rocznica śmierci wstrząsnęła na nowo i skierowała myśl wszystkich kulturalnych ludzi ku Temu, który na przełomie XIX wieku w literaturze światowej odegrał tak wielką rolę. Uczciły Go wszystkie narody, państwa i miasta cywilizo-

wanego świata. Czyż miało o nim zapomnieć gimnazjum zamojskie, ta dawna Akademia, ta strażnica pamiątek, świąt narodowych i ogólnoludzkich?

Nie!

Nie zapomniano o Nim!

Dzięki niezmordowanej pracy p. profesora Wernera my, młodzież zamojska uczciliśmy Jego pamięć uroczystym wieczorem.

Cały ten obchód, prócz pierwszego referatu, który skreślił najogólniejszą sylwetę Goethego — jako wielkiego poety i człowieka, odbywał się w Jego ojczystym języku. Zagajenie wygłosił p. prof. Otto Werner. Po nim następowały kolejno referaty, uczniów klas wyższych, przeplatane deklamacjami, inscenizacjami oraz chórem. Referaty takie, jak „Goethes Lyrik“, „Goethes Naturmalerci“, oraz „Die Weltliteratur — ein Gemeingut des nationalen Schaffens“ dały obraz całokształtu, tak płodnej i wszechstronnej twórczości Goethego. Na zwrócenie uwagi i podkreślenie zasług inscenizacje dwu ballad: „Der Säuger“ i „Erlkönig“, oraz fragment Wyspiańskiego „Weimar“; szczególnie ten ostatni, którego treścią jest spotkanie się dwu genjuszów: twórcy „Fausta“, z twórcą „Dziadów“. Efekty świetlne, oraz onomatopeiczne, jakie były zastosowane podczas inscenizacji zrobiły duże wrażenie na widzach i słuchaczach, zaś pieśni „Mignou“, „Mailied“, odśpiewane przez chór szkolny, oraz Szuberta „Erlkönig“ odegrane przez szkolną orkiestrę uczyniły odpowiedni nastrój.

Tak więc wieczór Goethego miał charakter zupełnie odrębny i nadzwyczaj oryginalny, wykazując zrozumienie młodzieży zamojskiej dla wielkich myśli, oraz potrzeb kulturalnych.

W. Z.

„STRAŻ PRZEDNIA“.

ŻYJEMY w czasach, kiedy uwagę społeczeństwa absorbują bardziej niż kiedykolwiek zagadnienia natury gospodarczej.

Ostatnie wydarzenia na rynkach finansowych świata, wydarzenia, których w normalnym biegu życia gospodarczego nie można było przewidywać, zelektryzowały opinię całego świata i swoją doniosłością przykuwają uwagę wszystkich.

Przetrwanie tego okresu i wynalezienie dróg wyjścia wymaga wielu ofiar, ofiar które musi ponieść każde społeczeństwo.

Żyjemy w okresie przełomowym. W momencie, gdy stare prawa, pewniki, postulaty, zdawałoby się fundowane na spiszowych podstawach, pękają i rozpadają się w naszych oczach.

Idą nowe czasy! My młodzi musimy wyjść tym czasom na spotkanie zorganizowani i pełni zapału do pracy.

Za kilka lat mamy stanąć w szranki przyszłego ruchu, mamy przebudować Państwo Polskie, mamy tworzyć nowe, lepsze formy na miejsce starych i przebrzmiałych. Za kilka lat mamy wziąć udział w życiu społecznym, mamy jako ludzie dojrzały ująć w swoje ręce ster państwa. Dzisiaj nie możemy poprzestawać na tem, co daje nam praca w kółkach samokształceniowych, bo od dziś powinniśmy nasze ideały w czyn obracać.

Aby nasze szlachetne wysiłki nie poszły na marne, aby w dzisiejszym chaosie nie zmarły w przyziemnych mgłach codziennych trudności, muszą być one zebrane, uporządkowane i skierowane ku jednemu wielkiemu celowi — jakim jest dobro Polski.

Spełnić to może jedynie organizacja młodzieży, która skupiłaby w swoich szeregach tych, którzy pragną realnie służyć państwu i naszemu narodowi.

I aby to urzeczywistnić ma powstać nowa organizacja pracy obywatelskiej młodzieży „Straż Przednia”.

Zadaniem „Straży Przedniej” jest wychowanie obywatela-państwowca, który wszystkie swoje poczynania będzie wykonywał w imię dobra Ojczyzny. „Salus Reipublicae suprema lex” oto naczelny postulat „Straży Przedniej” i dlatego nie ma ona w sobie żadnego z dotychczas istniejących programów poszczególnych organizacji, ale skupia w swych kadrach tych wszystkich, którzyby chcieli pracować na poszczególnych odcinkach pracy realizacyjnej.

Nazewnątrz praca ta będzie wyglądała tak, że każdy z jej członków obiera sobie dobrowolnie pewien odcinek pracy realizacyjnej, a za tą pracę jest całkowicie odpowiedzialny przed resztą swego zespołu. Tak jak w innych organizacjach, kładzie się nacisk, na pracę naukową, na pracę fizyczną, tak tutaj punkt ciężkości położony jest na społecznej pracy realizacyjnej.

Każdy członek „Straży Przedniej” powinien przedstawić konkretne wyniki swojej pracy, podjętej na danym odcinku, pracy któraby świadczyła, że została wykonana z zamiłowaniem, że włożono w nią nawet serce. Boć przecież przez umiłowanie pracy, dojdziemy do prawdziwej potęgi gospodarczej Polski.

Wszystkie te uwagi zebrał Naczelnik „Straży Przedniej”, Jan Pic de Replonge w słowach: „Celem Straży Przedniej jest wychowanie zastępów młodzieży na karnych i odpowiedzialnych obywateli, czynnie służących państwu, a honor i potęgę jego ceniących ponad wszystko”.

Jak organizacja ta spełni swoje zadania przyszłość pokaże.

W każdym razie cele jej są piękne i my, młodzież dzisiejsza, przed którą stoi zadanie budowy Państwa, z wielką radością powitamy tę nową placówkę pracy państwowej.

Red.

ZAMOŚĆ W HOŁDZIE STANISŁAWOWI WYSPIAŃSKIEMU.

Dnia 28 listopada 1932 roku, rozkołysały się dzwony Wawelu i wszystkich świętych Pańskich od Karpat aż hen po Bałtyk, śląc na niezmierzone równiny ziemi polskiej, echa jej dziejowej przeszłości i wzywając cały naród, do uczczenia pamięci wielkiego człowieka, poety i malarza polskiego Stanisława Wyspiańskiego.

Z tonących w morzu światła i przyozdobionych świątyń ulatywała w przestworza modlitwa. Skalka w Krakowie, kryjąca prochy tego wielkiego człowieka, była dnia tego miejscem czci i wielbienia, gdzie kornie chylili swe czoła uczeni i dostojnicy Państwa. Wszystkie teatry w Warszawie, Krakowie i innych miastach przyozdobione

w jakiś dziwnie swoście, polski sposób, wystawiały na scenie „Wesele“, „Warszawiankę“ i „Wyzwolenie“. Utworzona przez Ministerstwo Oświaty komisja, jeździła po teatrach, przyznając nagrody za najpiękniejszą dekorację sceny i najartystyczniej odegrane na niej „Wesele“. Szereg wystaw obrazów i książek Wyspiańskiego po miastach, było dowodem zrozumienia i zainteresowania się sztuką tego poety, przez szersze koła społeczeństwa polskiego.

Podobnie jak inne miasta i ośrodki kulturalne, tak też i Zamość, ta dawna placówka akademji, wziął żywy udział w złożeniu hołdu Stanisławowi Wyspiańskiemu, nie tylko jako poecie i malarzowi, lecz także jako wielkiemu patriocie, który całym sercem był przywiązany do tego wszystkiego, co polskie, co wyodrębnia i podnosi tę polskość z niewoli i zapomnienia. Jego to serce bardziej jak wszystkie inne, bolało i krwawiło się na myśl o utraconej niepodległości. Dlatego też, niejednokrotnie Wyspiański, doszedłszy do rozpacz, szuka ukojenia w modlitwie, jak np. w „Wyzwoleniu“.

„Niech idą w zapomnienie
niewoli gnuśne pęta.
Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
By słowa się spełniły,
nad ziemią tą szczęśliwą.
Jest tyle sił w narodzie,
Jest tyle mnogo ludzi;
Niechże w nie duch Twój wstąpi.
I śpiące niech obudzi“.

Oto dowód, oto wyraz tego, co tkwiło w polskiej duszy tego poety.

Z pośród uroczystości urządzanych na terenie poszczególnych szkół, najpiękniejszą i najbardziej efektowną była uroczystość urządzona staraniem „Koła Bibliofilów“ gimnazjum żeńskiego i męskiego, będąca dowodem dobrej woli i starań młodzieży. Na scenie teatru „Stylowy“ dnia tego odegrano szereg fragmentów z utworów Wyspiańskiego jak: „Wesela“, „Warszawianki“, „Wyzwolenia“ i „Akropolis“. Wygłoszone przemówienia wykazały szerszym kołom publiczności artyzm, piękno i aktualności o dobie obecnej dzieł Wyspiańskiego. Uroczystość ta, urządzona może nie tak bogato jak w innych miastach polskich, jest jednak dowodem, że młodzież zamojska ceni przeszłość narodu, ceni niepodległość, ceni kulturę i tych wielkich ludzi, którzy cały swój wysiłek i życie złożyli na ołtarzu polskości.

Korona Władysław, kł. VIII.

EPIZOD Z OBOZU.

BYŁ wieczór. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ostatnie jego odbłaski przedzierały się pomiędzy sosnami i padały na namioty, różowiąc je, te znowu czerwieniąc, kładły swoje promienie coraz wyżej i wyżej, aż wkońcu wszystko zlało się w jedną szaro-niebieską barwę.

Wśród tego półmroku snują się tu i ówdzie postacie uczniów-żołnierzy, jakieś senne, rozleniwione, spragnione odpoczynku, wzdychające do błogiej nocy, po całodziennym

wyczerpaniu na skwarnem, lipcowem słońcu. Jedni siedzą, lub leżą na leśnej murawie, skupieni dookoła sosny. Rozmawiają. Tematem są wesołe przeżycia z ubiegłego dnia, przeplatane od czasu do czasu wybuchami huraganowego śmiechu. Inni wałęsają się z kąta w kąt, rozczarowani swobodnem i wesołym życiem obozu, zasłuchani w szumach i poświstach letniego wieczoru.

Wtem głos służbowego: Zbiórka na apel" przerywa błogi odpoczynek. Jak z pod ziemi wyrastają drużyny junaków i dwójkami dążą na plac zbiórki. Tu i ówdzie daje się słyszeć tupot żołnierskich butów, przyspieszony oddech, krótka kłótnia i znowu cisza. To spóźniony wpycha się na swoje miejsce do szeregu.

Gotowe. Z namiotu wychodzi szef, obok służbowy z latarką. Stanęli przed frontem. Na rozkaz szefa odliczono do dwóch, później kolejno: raz, dwa... pięć..., w końcu czterdzieści pięć „ślepa”. Kompanja pierwsza cała. Nikogo nie brak. W tem komenda: Baczność! Na prawo patrz. Przyjmuje raport kapitan, dowódca pierwszej kompanji. I znowu: Baczność! Spocznij! I jak grom z nieba: „Czołem panie kapitanie”. Następuje krótka przemowa kapitana i odczytanie rozkazu głównej komendy D. O. K. II: „Jutro, marsz 30-to kilometrowy, do miejscowości Zyrzyn. Kompanja wyruszy po południu, o godzinie czwartej. Marsz ma na celu wypróbowanie wytrzymałości, hartu woli i siły każdej kompanji”. Baczność! „Podpisał major Matus”. Spocznij!

Cichy pomruk zadowolenia przebiega całą kompanję. Gwar wzrasta coraz bardziej. Gdzieś tam tworzą się luki w szeregach — to upojeni radością junacy wyrażają swe zadowolenie, waląc się z całych sił.

Lecz głos komendanta: Do modlitwy! Ucisza rozbawione szeregi. Ze wszystkich piersi wydobywa się głos dziękczynny, potężny, odbija się stokrotnem echem o podwoje niebieskie, aż wreszcie dobiega do uszu Najwyższego. „Po modlitwie"! Pada rozkaz i jakby kto rzucił granatem w to miejsce. Krótki trzask i na placu pozostał tylko kapitan, szef i służbowy.

Jeszcze kilka chwil namioty rozbrzmiewają zdrowym i wesołym śmiechem. Słychać trąbkę grającą do snu. Powoli wszystko cichnie, a tajemnicza noc zsyła na rozbawionych i upojonych beztroską junaków, rozkoszny sen. Tylko od czasu do czasu przesunie się i zajrzy do namiotu cień wartownika, albo romantyczny półgębek księżycy. To znowu wiatr załopoce po namocie i jakby mu się spieszyło pędzi dalej i dalej, przedzierając się między konarami wysokich sosen.

Marjan Pelc, kł. VIII.

KOCHAJ KSIĄŻKĘ.

HISTORIA książki — to historia kultury i cywilizacji człowieka. Od najdawniejszych czasów do doby współczesnej rola książki jest wielka i tem większa, im kultura jest wyższą i doskonalszą. Trudno wyobrazić sobie dzisiaj człowieka, któryby nie korzystał z dobrodziejstw książki, trudno wyobrazić sobie życie społeczeństwa, któreby nie czerpało soków życiowych z literatury. A jednak pretensje do książki i literatury są u nas zjawiskiem powszechnem, chociaż mało uzasadnione i wynikające bądź to z nieporozumienia, bądź też ze złej woli jednostek.

Już we wczesnej młodości przygotowujemy się do zetknięcia z książką, uczymy się sztuki czytania, aby móc wejść w świat piękny, bogaty, kryjący niezliczone, a ciekawe zagadki. Już od dzieciństwa świat ten nas pociąga, wzbudza sobą zainteresowanie. Jakaś nieznana, wewnętrzna siła ciągnie nas do tych małych, czarnych znaczków, liter, które w sposób wprost magiczny tworzą słowa, te zaś zdania, wyrażające piękne myśli, głębokie uczucia, to wszystko, co jest wytworem umysłu i serca ludzkiego.

Na czym jednak polega ten świat książki i co daje człowiekowi? Zbyt krótkie jest życie ludzkie, by poszczególna jednostka mogła o własnych siłach budować od podstaw wszelkie wiadomości i urabiać sobie pojęcia. Tak zaś musianoby czynić, gdyby nie było pisma i książki. Na nic przydałby się dorobek naszych przodków, zdobycze naukowe nie byłyby przekazywane przyszłości, doświadczenia życiowe nie ostrzegałyby pokoleń przyszłych przed raz już popełnionymi błędami. Słowem łączność z przeszłością i jej dorobkiem kulturalnym byłaby zerwana, gdyby nie istniało słowo pisane, gdyby społeczeństwo nie zajmowało się literaturą. Ona to jest pomostem łączącym przeszłość z teraźniejszością, pomostem wiążącym serca i myśli ludzkie w jedną harmonijną całość. Dla życia umysłowego i duchowego poszczególnych jednostek, książka posiada taką wartość, jak chleb dla jej bytu fizycznego. I tak jak ciało, pobierając dobre pożywienie- wegetuje pięknie i zdrowo, tak życie duchowe, czerpiąc pokarm z książek, rozwija się, wzbogaca i dochodzi do pięknych form doskonałości ludzkiej. Książka więc, mając tak olbrzymią wartość, powinna znaleźć zrozumienie, powinna wzbudzić miłość dla siebie w sercu każdego, za swą szarą, codzienną, a wprost nieocenioną służbę człowiekowi. Przedewszystkiem zaś młodzież szkolna musi zawrzeć bliższą z nią znajomość, musi zaprzyjaźnić się z nią, nabrać do niej zaufania, aby w przyszłym życiu młodych książka stanowiła jedną z najważniejszych jej potrzeb i najserdeczniejszych przyjaciół.

Na terenie gimnazjum młodzież odczuła potrzebę kształcenia i rozwijania swych zamiłowań bibliofilskich, organizując już w roku 1927 „Koło Bibliofilów“, które przez przeciąg lat pięciu do dnia dzisiejszego rozwijało i rozwija żywą i dość pomyślną działalność na niwie życia szkolnego. Wyrazem zaś tej pracy są liczne referaty, opracowywane przez członków „koła“, i wygłaszane podczas zebrań, a mające na celu zapoznanie nas z dziedziną literatury, liczne pogadanki i dyskusje, pogłębiające nasze wiadomości z zagadnień książki i jej twórców-pisarzy. Poza pracą wewnętrzną „Koła Bibliofilów“ rozciąga swą działalność na terenie całego gimnazjum, urządzając często akademję czytelną, propagując kult książki, organizując obchody, przypadające rocznic ze świata literackiego.

OBRAZKI Z ŻYCIA NASZEJ GMINY KLASOWEJ.

...WIELKA, pamiętająca wiele uroczystych chwil, sala naszej gminy klasowej rozbrzmiewa dziś gwarem kilkudziesięciu zebranych w niej uczniów. Panuje tu jakiś nadzwyczajny i podniosły nastrój. Za chwilę ma się odbyć pierwsze, walne zebranie gminy klasowej. Wszyscy obecni dzielą się między sobą powakacyjnymi wrażeniami, zamieniają pojedyncze zdania lub też wszczynają dłuższe rozmowy. Każdy chce

się nagwarzyć dosyć, chce się rozpytać innych o wszystko, chce zainteresować kolegów swoim opowiadaniem. Wreszcie, gdy wchodzi opiekun gminy, gwar się ucisza. Po uroczystym zagajeniu zebrania przez wójta, przemawia pan opiekun, a dalej zabierają głos koledzy. Wywiązuje się żwawa dyskusja, padają rozmaite zapytania, udziela się odpowiedzi słowem, na salę wraca przedwakacyjne życie i atmosfera.

Powoli zacierają się ślady wakacji, które każdego oderwały na dwa miesiące, od wspólnego grona, powoli znika pewnego rodzaju odcień rozprężenia, jakie dawało się zauważyć przed zebraniem.

Na zakończenie zabiera głos pan opiekun, a potem wójt, „zebraliśmy się znowu, by serca nasze złączyć w nierozdzielny łańcuch przyjaciół, by kształcić wspólnie ciężką ducha, hart woli, poczucie obowiązku obywatelskiego i miłości bliźniego” — padają dziarskie, pełne młodzieńczego zapału słowa i momentalnie napełniają serca wszystkich niewypowiedzianą radością, powagą i chęcią czynu. „Pełni więc zdrowia, wypoczęci na duchu, umyśle i ciele idźmy żwawo dalej, zwyciężajmy śmiało wszelkie piętrowe się przed nami trudności, dążmy do najwyższych celów, do najbardziej szczytnych czynów, ku doskonałości”!

Obecni powstają. Z sześćdziesięciu piersi wyrzywa się pieśń koleżeństwa, przyjaźni i miłości braterskiej. Brzmi nieprzełamaną mocą hymn klasowy:

„Hej koledzy, dalej żywo
Podawajmy bratnie dłonie
W silne łączmy się ogniwo
Co nie pęknie, aż po zgonie”.

I u niejednego ze śpiewających ukazuje się na twarzy wzruszenie, niejednen z nas czuje, że żyje w tej chwili czemś, co niezawsze ma miejsce w duszy człowieka. Wszyscy jesteśmy w tej chwili szczęśliwi. Wszyscy czujemy to szczęście, które nas teraz przepełnia i pozwala nam choć przez chwilę naprawdę unieść się wyżej, nad szarą codzienność, ku świetlanym naszym ideałom.

Zbudził się ze snu stary las. Świergotek rozbrzmiał cały, zappełnił się pokrywającą go rosą w strzelistych, złotych promieniach wschodzącego słońca i zabrzmiał radośnie swą pieśń poranną.

W zielonym, leszczynowym gąszczu dały się słyszeć radosne okrzyki, nawoływania i śmiechy, a po krótkiej chwili wymaszerowało z zarośli kilkunastu młodzieńców, o wesołych minach, roziskrzonych radością swobody w oczach i swobodnych ruchach. Gdyby się kto dobrze przyjrzał im w tej chwili, byłby niezawodnie poznał, że ma do czynienia z obywatelami gminy im, ks. J. Poniatońskiego.

Tak, to byliśmy my. Mianowicie, korzystając z dnia wolnego od zajęć szkolnych, wybraliśmy się na wycieczkę do lasu, oddalonego od miasta o kilkanaście kilometrów. Przymaszerowaliśmy tu z wieczora i po noclegu na łonie natury maszerujemy do środka lasu, gdzie mamy obejrzeć głośne w okolicy źródło, którego kryniczna

woda, jak wieść głosi, ma cudowne własności lecznicze. Czujemy się swobodnie, oddychamy pełną piersią aromatem powietrza i wędrujemy wciąż naprzód.

Lecz oto komendant daje znak odpoczynku. Zasiadamy więc grupkami na malutkiej polance i zaczynamy, każdy po swojemu, „chwalić dzionek boży“. Każda grupa stara się prześcignąć inną humorem, każdy z nas wyszukuje najśmieszniejsze opowiadania, aby się popisać przed innymi. Są co prawda wśród nas i tacy, co korzystając z nieuwagi innych, zawierają pośpiesznie znajomość z zawartością swoich i cudzych plecaków, a więc badają cechy pieczonych kurcząt, wychwalają dobroć kanapek i studjują wszelkiego rodzaju kielbasy.

Zatrzymujemy się tu dość długo, by połączyć się z drugim oddziałem naszej wycieczki, mianowicie z grupą rowerzystów, którzy w krótkim czasie przybywają do nas z panem Wychowawcą na czele.

Teraz cała polanka rozbrzmiewa śmiechem, tętni życiem, kipi młodością. Bawimy się, śpiewamy i zachwycamy się pięknem natury. W ręku klasowych „malarzy“ pojawiają się szkicówki, tam znowóż mozoli się przewodniczący sekcji fotograficznej nad wykonaniem zdjęcia. Wszyscy są zadowoleni, wszyscy radują się życiem, wszyscy czują, że są jedną, wspólną rodziną, jednym łańcuchem serc tętniących jednakowo gorąco. Wszyscy czujemy młodość, energię i wspólnotę, bo

„...kto w naszym kole
Z nami wiecznie będzie
Nawet wtedy, gdy siwizna
Już na głowie mu osiedzie“!

Kotorowicz, kł. VI.

PUŁAWY—KAZIMIERZ DOLNY.

(WRAŻENIA Z WAKACYJ).

ŚLICZNY, niedzielny, lipcowy poranek. Słońce strumieniami światła zalewa szerokie pola, okolicy Puław, poprzecinane, tu i ówdzie, ciemno-zielonemi płachtami lasów. Po prawej stronie szosy, wiodącej z Dęblina do Puław, między zielonemi kępami łożyn, migoce modra Wisła, nad nią z ostrym krzykiem unoszą się rybitwy, które od czasu do czasu, jak strzały, spadają na upatrzoną wśród fal rybkę. Po szosie w kierunku Puław, w obłoku złotego pyłu, posuwa się wycieczka z obozu przysposobienia wojskowego z Wólki Profeckiej. Około 9-ej wycieczka wchodzi na przystań portową w Puławach, zalaną powodzią światła, skąd statkiem ma się udać do Kazimierza Dolnego. Parostatek „Mazur“, chwiejąc się lekko na falach, już nas oczekuje. Wśród śmiechu i gwaru wsiadamy, za chwilę ostry gwizd syreny i ruszamy. Z obydwu stron do statku podjeżdżają kajaki, aby po przejściu statku pohuścić się na falach.

Powoli mijamy stary drewniany most, przepływamy obok nowo budującego się, konstrukcji żelaznej i Puławy jak we mgle zostają za nami. Na statku ruch jak w ulu, na pokładzie, na mostku kapitańskim, pod pokładem roi się od „junaków“

chciwych wrażeń. Chóralne śpiewy nie milkną ani na chwilę, a nawet znalazła się i przygodna orkiestra. Słowem: śmiech, humor, życie!

Płyniemy szeroką doliną, wśród niewielkich pagórków pokrytych jasną zielonością i złotymi łanami zbóż. Tu i ówdzie u stóp wzgórza tuli się w zieleni sadów wieś, błyskająca białymi ścianami, tu i ówdzie na zboczach góry pasą się gromadki owiec, lub krów. Czasem jednak zamiast pagórków okrytych zielenią, przepływamy obok szarych, posępnych, głucho sterczących kamieniołomów.

Płyniemy tak ze dwadzieścia minut, gdy nagle z za zakrętu wyłania się jakgdyby potężny komin, ścięty z wierzchu, błyszczący białymi ścianami w słońcu, jest to pierwszy zwiastun Kazimierza, ruiny starej baszty z XIV wieku. Płyniemy szybciej. Powoli u stóp baszty rozróżniamy kontury wież kościelnych i ruiny zamku królewskiego. Wjeżdżających do Kazimierza od strony Puław witają stare śpichrze, wybudowane ongi przez króla-gospodarza po lewej stronie Wisły. Przybijamy do przystani, wysiadamy i idziemy zwiedzać zabytki miasta. Jest to typowe żydowskie miasteczko (około 70%), które straciło dawną swą świetność i wartość handlową. Kiedyś był to główny spichrz wyżyny Małopolskiej i Sandomierskiej, obecnie jest tylko miejscowością lotniskową. Jest tu dużo will, pensjonatów, hoteli. Prócz tego są tu wille, położone wyżej, wybitnych malarzy, pisarzy i poetów współczesnych. Przedewszystkiem idziemy do owej baszty, która stoi na najwyższym punkcie. Co za śliczny stąd widok! Na dole jak na dłoni rozkłada się miasto, wśród ogrodów toną wille i hotele. Na prawo, nad brzegiem Wisły szeroka promenada, na Wiśle, w świetle letniego południa, uwijają się kajaki i od czasu do czasu przesunie majestatycznie żaglówka. Dalej na wschód, błyszczy w słońcu wieża kościółka w Janowcu, który był kiedyś strażnicą Kazimierza, jak wieść głosi, miał on być połączony przejściem podziemnym pod Wisłą z Kazimierzem. Tu mimo woli nasuwają się myśli o owych legendarnych Tatarach i ich „zagonach“, aż tu podobno się zapuszczających. Stąd idziemy do ruin zamku królewskiego, położonego na tej samej mniej więcej wysokości, co baszta, lecz oddzielone od niej głęboką fosą, kiedyś prawdopodobnie istnieć tu musiał most zwodzony, łączący te dwa strategiczne punkty. Obecnie zamek, jak wspomniałem, jest w ruinie, zachowały się resztki murów z kamienia białego i lochy podziemne. Stąd jest rozległy widok na Wisłę i okolicę. Następnie zwiedzamy stary kościół kolejalny z początku XIV w., dobrze zachowany do dzisiejszego dnia. Najciekawszą rzeczą godną uwagi są tu stare modrzewiowe organy, jedyne tego rodzaju w Polsce, których do tej pory nie może ruszyć zab czasu, następnie ciekawym jest świecznik z rozłożystych rogów jelenia, upolowanego jak głosi tradycja przez Kazimierza wielkiego i ołtarze wykładane „kurdybanem“ z wyciskami złoconemi. Następnie zwiedzamy kościoły: św. Anny, który jest w ruinie, O. O. Franciszkanów, gdzie znajduje się stara, bo jeszcze z początku XIII w. biblioteka, z tomami tak grubymi, że ledwie można jeden utrzymać.

Popierajcie Ogród Przyrodniczy.

Wchodzimy następnie na rynek prostokątny, mający po rogach stare studnie, najciekawszą budowlą jest ratusz, sięgający swym początkiem napewno XIV w. Jest to piętrowa kamienica, bogato rzeźbiona z charakterystycznym gzymsem, wychodzącym na dach. Prócz ratusza zachowała się jeszcze jedna, mniej więcej z tego samego czasu, kamienica mieszczańska podobna do niego. Z osobliwości jest tu jeszcze stary prawie 10-cio wiekowy dąb.

Całe życie skupia się obecnie nad brzegami Wisły i na plaży, położonej na łasze piaszczystej po środku Wisły. Malownicza okolica i stare zabytki tak skupiają uwagę turysty, że czas mknie bardzo szybko, chciałoby się tu zostać jak najdłużej, lecz niestety zbliża się wieczór, trzeba wracać.

Po całodziennem chodzeniu z miejsca na miejsce, pełni wrażeń, powoli ściągają się wycieczkowicze na pokład „Mazura”. Trzy gwizdki syreny, pospieszne żegnania, i powoli z trudem wyjeżdżamy na środek Wisły i pod prąd kierujemy się w stronę Puław. Każdy z żalem rzuca ostatnie pożegnalne spojrzenie w stronę miasta.

O zmroku jesteśmy w Puławach, skąd mamy jeszcze pięć kilometrów do obozu, gdzie czeka nas zasłużony spoczynek.

T. Palonka, kł. VIII

SPAŁA.

(Dokończenie).

WIELKA strzelnica w Spale leży w głębi lasu otulona zimnym cieniem potężnych sosen. Strzelam. „Dziesięć”, „dziesięć”, „dziesięć”, brzęczy metalowy głos telefonu, a wtem w momencie strzału spada moja tarcza i cała serja psuje się fatalną „czwórką”.

Krótką, delikatną i ostrą zarazem szermierką słów między mną a komisją sędziowską i oto strzelam poraz drugi, zdobywając pierwsze miejsce. Udobruchany sędzia daje mi wspaniałomyślnie do dyspozycji swoją 75-konną „Minerwę” i oto mknę po asfaltowych drogach Spały, zadowolony ze świata i ludzi. Tymczasem Poldzio i „Haj” pracują ciężko na stadionie.

Jednak „Haj” ma pecha. Podczas decydującego rzutu, oszczep jego pęka w powietrzu, jak trzcina, co niezłomnie świadczy o „delikatności” wyrzutu, a zarazem nielitośnie odsuwa „Haja” od pierwszego miejsca. Poldzio również nie ma szczęścia do tytułu mistrza Młodej Polski i ogranicza się skromnie do czwartego miejsca. Tak płyną nam dni, pełne słonecznego piękna i blasku. Czasami poważny Funio mąci nam pogodę ducha pytając: „co to jest interferencja fal”, albo „wymień mi wyrazy „do”, „go” i „o””,

Nareszcie upragnione przybycie P. Prez. Olbrzymie trybuny stadionu roją się dziesiątkami tysięcy głów, barwny wieniec zawodników i zawodniczek otacza ściśnięte kolumny P. W., a dziesiątki aparatów filmowych spozierają na nas martwemi oczami obiektywów. Msza polowa, defilada przed P. Prezydentem 30000 młodzieży, popisy gimnastyczne i szermiercze, bieg Petkiewicza i sztafeta A. Z. S-u, a w końcu

finałowy szczypiorniak przewijają się przez myśl, jak złote marzenia. Szczypiorniak jest prawdziwą atrakcją. Grają reprezentacje: O. K. II, w którą wchodzi sześciu z naszej zamojskiej „paczki” i O. K. Poznań, mistrz półfinału. Tempo gry szalone. Śliczny Orcio, jak sprężyna rozwija swoje zgrabne ciało i syjąc jak z worka gradem dowcipnych, iście sportowych anegdotek, łapie każdą piłkę, skierowaną do bramki. Ryś, staje się prawdziwym, białowieskim rysiem. Z kocią zręcznością przerywa „fory” przeciwników i wspomagany przez dwóch Jasiów i Funia „pakuje” jeden po drugim goale w bramkę Poznania. Cały stadion ryczy z uciechy. Ambitne Poznaniaki krzyczą chóralnie: „Poznaniacy bijcie bramki, niech zapłaczą Lublianiaki”, ale po chwili urażone w swej dumie, klęską swych bohaterów, grożą: „Poznań lodów nie dostanie, bo mu Zamość (dlaczego nie O. K. II?) sprawił lanie”. Następuje wreszcie koniec z nieuniknioną „fuszerką”, która spycha O. K. II na drugie miejsce. Ale fakt pozostaje faktem, i publiczność nie szczędzi oklasków i okrzyków: „Niech żyje Zamość!” Następuje w końcu uroczyste rozdanie nagród i oto nasza dziewiątka wesół i rozbawiona żegna Spałę z okien wagonu. Znowuż „gitary hawajskie”, wpisywanie się do pamiętników i pożegnalne rozmowy. Rano wita nas Lublin rykiem syren i szumem spieszącej do pracy ludności. Ubieramy się wkońcu w swoje szkolne mundury i ładujemy się znowuż do pociągu. Smutno nam wszystkim, ale jednocześnie jesteśmy zadowoleni z siebie, że nie zawiedliśmy nadziei tych, którzy nas oczekują z laurami zwycięstwa. Bądź co bądź, ale Zamość górą! Mkną w nocnych mgłach skąpane pola Zamojszczyzny, znowu miga przed oknem Krasnystaw, Izbica i w końcu wynurza się prujący słoneczne błękity wieżami kolegiaty i ratusza, nasz ukochany Zamość.

Zapisujecie się na członków L. O. P. P.

Komitet Redakcyjny: Zawiliński Wacław, Majdan Stanisław, Rams Edmund,
Kotorowicz Grenadjusz

Redaktor naczelny: Kłokocki Wiesław. Za redakcję odpow.: p. prof. Gajewski Tadeusz.

Adres Redakcji i Administracji: Państwowe Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamojskiego.

Okładkę projektował i wykonał: Kasperowicz Stanisław.